Rok VI. **Nr. 7.**

HARCERZ

Przed Walnym Zjazdem Z. H. P.



Przewodniczący Z. H. P.
D-r TADEUSZ STRUMIŁŁO
Prof. Uniw. Lubelskiego.



I Vice-przewodniczący Z. H. P.
JÓZEF OSINSKI
Generał dywizji.

D. 17 i 18 b. m. obradować będzie we Lwowie Zjazd Walny Z. H. P. W salach Rady Miejskiej bohaterskiego Lwowa wykuwać się będzie program pracy na najbliższy okres życia harcerstwa. Drużyny orląt lwowskich całem sercem przyjmować będą swoich kierowników Ruchu, zjeżdżających z całej Rzeczypospolitej na obrady. Młodzież harcerska wszystkich środowisk Polski duchem będzie z nimi, a ułożone na zjeździe wskazania wcieli w czyn wielką mocą woli i wytrwania.

Życzenia świąteczne.

Wszystkim Druhnom i Druhom życzymy, aby w ciągu świąt sprzedali nie po dwa, ale po pięć losów loterji harcerskiej, aby każdy zjednał przynajmniej jednego (iedną) czytelnika (czkę) „Harcerza“, aby Ich drużyna przy pomocy energicznego Koła Przyjaciół zapewniła sobie wyjazd na najpiękniejszy i najowocniejszy obóz letni. Ponieważ dobrze pracować mogą tylko zdrowi i duchem silni, więc samo przez się jest zrozumiałe, że Druhny i Druhowie te cechy zdrowia zachowają.

H A R C E R Z

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

Rok VI. 15 KWIETNIA 1925. Nr 7.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO.

(Z cyklu: Patronowie Drużyn).

Dokończenie.

Powrócił do ojczystych Siechnowicz. Za przykładem przodków odpasał szablę, gdy minęła orężna potrzeba, i jął się pługa na rodzinnym zagonie. To były krótkie lata jego wypoczynku, lata ściślejszego obcowania z przyrodą, ludźmi prostego obyczaju, niewymuszonych z sąsiadami i rodziną stosunków. Wyrzekał się wygód domowych, splendorów i zaszczytów, jakie spadać na niego mogły z racji odznaczeń amerykańskich i dobrze zasłużonej sławy. Wtedy też zapewne zbliżył się do ludu, którego doli pragnął ulżyć, choćby z uszczerbkiem własnej, skromnej fortuny. Zrozumiał, że w ludzie tym tkwi jakaś siła niespożyta, utajona tylko i przyziemna, jakaś nieodkryta potąd dziedzina duchów cichych i jakby uśpionych, a w istocie niewygrzmiałych jeszcze ostateczną burzą ogniów starodawnych i wiekami, niby pod granitem, nagromadzonej energji.

Bacznie też nadsłuchiwał odgłosu Wielkiego Sejmu. Stawi się na pierwsze wezwanie do narodowej armji i tu wreszcie odnajdzie swoje życiowe i dziejowe powołanie — zostanie Żołnierzem i Wodzem polskim.

Pracował gorliwie nad urządzeniem odradzającej się siły zbrojnej, a miał rzadką wytrwałość i zamiłowanie żelaznej pracy. Nauka i długi pobyt na obczyźnie rozjaśniły mu umysł, wyzuły ze wstecznych, a głęboko w narodzie zakorzenionych, pojęć, wad i przeżytkowych tradycyj. Zrzuciwszy z siebie całą pleśń kastową, wnikliwiej rozumiał istotne potrzeby państwa, silniej odczuwał rozkładające je braki, a jaskrawość rewolucyjnych przekonań łagodził gorącym patrjotyzmem i gotowością do bezgranicznego dla Ojczyzny poświęcenia. Dlatego skwapliwie zaprzysiągł Ustawę Majową, choć w pojęciach szedł niewątpliwie dalej i żądał bardziej stanowczego zerwania ze złą przeszłością.

Potępiał lekko ważących służbę publiczną i słowami szczerego oburzenia gromił, usuwającego się od prac sejmowych, Michała Zaleskiego, gdyż „do celu jednego wszyscy powinniśmy się zjednoczyć: wydobyć Ojczyznę naszą z pod przemocy obcych, z upodlenia i zniszczenia imienia nawet Polaków... Od nas samych zależy poprawa rządu, od obyczajów naszych. A gdy podli będziemy, — tak z piołunową wołał gorzkością i rozżaleniem—chciwi, bezinteresowni, niedbający o kraj swój: słusznie, abyśmy potem mieli kajdany na szyjach, i tego warci będziemy“.

Bez wahania, z poświęceniem całkowitem oddawał swe ramię na obronę Konstytucji, gdyż walcząc za nią wiedział, że walczy za Polskę.

Pomimo wyższych uzdolnień fachowych, czego zupełną musiał mieć świadomość, bez szemrania szedł pod komendę młodszego od siebie wiekiem i doświadczeniem Ks. Józefa.

Na tle późniejszych przeżyć narodu obaj uwypuklają się w kształtach posągowych i promieniejącemi głoskami zapiszą swe czyny na kartach dziejów ojczystych. Ale różni są wielkością i charakrerem. Ks. Józef — uosobienie rycerskiej brawury oraz tej, Polakowi tylko znanej, dozgonnej wierności przegranej nawe tsprawie; Kościuszko, najczystszy wzór obywatela Polski niepodległej, niewyżebranej, niekompromisowej, najzaszczytniejszy przedstawiciel i sternik. Wsłuchać się w rytm życia Księcia, onego polskiego Bayarda, to jakby oczyma duszy wejrzeć w przeszłość, gdzie sławą szumiały skrzydła husarzy, a dzwoniły podkowy na wrażych karkach; zbliżyć się myślą do Kościuszki, wsłuchać się w tętno jego odezw i ducha uniwersałów, to jednocześnie widzieć fundament wszystkich porozbiorowych wysileń i tęsknot i rozumnej naprawy budowy społecznej. Cały świat pojęć dzieli tych dwóch ludzi, nigdy do siebie nie mogli się zbliżyć i rozumieć, i tylko prawość, miłość kraju, poczucie honoru i obowiązku łączyło ich ze sobą.



Dwór w Mereczewszczyźnie miejsce urodzenia Kościuszki.

W kampanji r. 1792 odegrał Kościuszko rolę zaszczytną: nie uratował wprawdzie kraju od pohańbień i zbrodni Targowicy, lecz zyskał szacunek przemożnego wroga; poznał wtedy również i ocenił wartość żołnierza polskiego, w którego nowożytnej taktyce starodawną odkrzesał iskrę bojową i poświęcające się wydobył bohaterstwo.

Z głębokim bólem żegnał towarzyszów broni, wstawiał się za nimi, o sobie nie myślał. „Ja skończę

z Ojczyzną moją; gdy będzie szczęsną i ja z nią będę, nie — to i życie moje niepotrzebne", tak z przepełnionem goryczą sercem wołał do przyjaciół. Nie mógł, nie potrafił żyć w rozterce „z pierwiastkową swoją przysięgą" i wbrew „wewnętrznemu przekonaniu". nawet w klęsce nie zgasła, lecz była jako ziarno usiewne dla Jutra, jako żywotność i jako potęga trwania. Zdecydował się, odrzucił udrękę wątpień i narodowi spiżowe ukazał hasło: „Pierwszy krok do zrzucenia niewoli, jest odważyć się być wolnym—pierwszy krok do zwycięstwa,



KRZYŻ POD MACIEJOWICAMI.
„Kędy ranny i omdlały Hetman upadł z konia".

A gdy dojrzeje wielki czyn insurekcji — zawaha się i rozważy, azali godzien jest ująć w dłonie wielki ciężar odpowiedzialności przed narodem, stać się jego czci obrońcą i poręczycielem.

Wejrzał w siebie, w dostojną przeszłość Ojczyzny, wieczne jej posłannictwo przyszłości. Wiedział, że trzeba zogniskować w sobie wielką moc miłości, — całą, na ten bój nierówny, siłę moralną zamienić w jedną płonącą gwiazdę, by poznać się na własnej sile". Takich słów w Polsce rozebranej i ujarzmionej jeszcze nie słyszano.

Za przyjętą odpowiedzialność wobec sądu historji, za mężne stawienie się przemocy, za czyny zbawiające Ducha — naród ukochał Kościuszkę.

V,

Brał wiadzę dyktatorską z woli i natchnień powszechności, ślubując, że jej „na niczyj prywatny ucisk nie

użyje, lecz jedynie dla obrony całości granic". Było w tem przysiężnem wyznaniu Naczelnika najczystsze stwierdzenie pragnień narodu, który nigdy po obce nie sięgał ziemie, nigdy nie splamił się zaborem.

Wolność, Całość i Niepodległość — oto jedyne cele, dla których zapaliła się Insurekcja. Wolność wszystkich stanów, bez różnicy wiary i szczebli społecznych, Całość terytorjów, którym przyświecał blask korony jagiellońskiej, Niepodległość wewnętrzna, bez zdradliwych sojuszników i podstępnych gwarantów.

Spadał na barki Kościuszki ciężar niepospolity, dziedzictwo niezliczonych błędów, omyłek i nieraz występków. W pomoc szedł naród wprawdzie pełen uniesienia, ale od czynu odwykły, w sobie rozdarty, w warstwach szlacheckich ciemny, w ludowych bierny i obcy sprawie narodowej. Jednych i drugich trzeba było oświecić, obudzić, rozpłomienić ogniem miłości i szczerego poświęcenia. „Nikt z Polaków — tak w duchu własnej bezinteresowności przemawiał Kościuszko — nie może godziwie szukać szczególnego dobra, tylko w dobru powszechnem; nikt nie może myśleć o ocaleniu swych dostojności i majątków, tylko o ocaleniu Ojczyzny".

W pracy myśli i badawczem doświadczeniu życiowem skrystalizowały się jego ideały społeczne i patrjotyczne. Zrozumiał, iż zbawczą stawało się potrzebą wywieść w pole tłumne zastępy nowych obywateli-obrońców niepodległości, świadomych bólu i hańby niewolniczych kajdan, w działaniu mocnych, jak stal, w pracy usilnych, a zwartych, jutrzejszego szczęścia kraju budowników krzepkich, ofiarnych. Z takiem rozumieniem powszechności ruchu odwoływał się do tych, o których zapomniała Ojczyzna, odnalazł ich, podźwignął, wezwał i złączył w towarzyski obóz rycerzy wolności.

Wielkim tym czynem, oczyszczającym sumienie narodowe, sprawił, że przed powaloną Polską nie zawarł się grób straszny, beznadziejny, czarny od hańby i brudny od spodlenia.

I Naród drgnął, Kościuszkę zrozumiał, wolę Jego zatwierdził. Pełnić się ona będzie odtąd po przez wszystkie morza łez, wśród świtań zbawienia i mroków rozpaczy.

Nic to, że spadły potem gromy klęsk, że po radosnych Racławicach nadeszły mrożące zgrzytem zgotowanych zdrad Szczekociny i tragiczna Maciejowic żałoba. Nic to, Duch ocalał.

Za to podniesienie serc i rąk spięcie na odrodzenie, na moc, na trwanie — czcimy, uwielbiamy Naczelnika.

VI.

Dzielił los kraju. W ranach dotkliwych szedł w niewolę carycy. Złamany był i strudzony. Pękły w nim węzły życia, niewyczerpane znosił ducha męczarnie. Zmorą toczącą pozostała w Nim wymuszona przysięga. Ukojeniem jedynem — podróż do oswobodzonej Ameryki, wspomnienia przeżytych dla niej trudów, tkliwa przyjaciół serdeczność.

Ale na wieść o świtającej dla Ojczyzny nadziei wraca niezwłocznie, gotowy resztę życia dla umiłowanej poświęcić sprawy. Staje przed Bonapartem, świadomy swego moralnego w narodzie przewodnictwa, by drogocenną krew rodaków dla Polski zachować, uchronić przed jej rotrwonieniem dla „obcych zwodzicieli".

Pamiętny zawiedzionej wiary Insurekcji w rewolucyjną Francję, nie zaufał też Korsykaninowi. Bezinteresowność Naczelnika, co ponad ko-

ronę sięgał władzą, lecz jej „do niczyjego ucisku nie użył“, nie mogła się pogodzić z dumnem, światowładnem dążeniem nowożytnego Cezara. Lecz tych co mu zawierzyli, nie potępił, z obojętnością się nie odwrócił, roztropnej rady nie skąpił, w zawodach wspierał, bohaterstwo uznał, z ich wiarą w Polskę się jednoczył.

„Wszystko, czego dotąd dokonali Polacy w sławnych legjonach, — tak w dobie walk na San Domingo pisał Kościuszko dla odparcia rzekomo wypowiedzianych przezeń, a z tygrysią rozkoszą ustawicznie przypominanych przez wrogów, słów: finis Poloniae — i czego jeszcze dokonają w przyszłości, aby odzyskać Ojczyznę, dostatecznie przekonywa, że chociaż my, żołnierze tej Ojczyzny, możemy ginąć, ale Polska jest nieśmiertelna, a zatem nie wolno nikomu ani wymawiać, ani powtarzać tych słów bluźnierczych“.



Nagrobek w Solurze (Szwajcarja).

Raz jeszcze, na krótko przed zgonem, chciał służyć narodowi powagą swego imienia przed Aleksandrem. Lecz i teraz doznał zawodu. Ułudne obietnice odtrącił, do kompromisów ze sobą nigdy zdolny nie był. Mógł więc rzec o sobie, iż „jestem sam jeden prawdziwym Polakiem w Europie: wszyscy inni podlegają okolicznościom i różnym mocarstwom“.

On, najwyższy Naczelnik Narodu Polskiego, nie mógł uświetniać sobą triumfu Aleksandra w stolicy okrojonego Królestwa, ani stać w jednym szeregu z Konstantym na Saskim placu. *Musiał odejść.*

Pozostał *symbolem wolnej i całej Ojczyzny.*

Henryk Mościcki.

OD REDAKCJI.

Nie jako podarek świąteczny, ale jako stały dodatek „Harcerza“, rozpoczynamy z niniejszym numerem stały dodatek powieściowy. W zamian za to prosimy nasze Czytelniczki i Czytelników o jednanie nam prenumeratorów, gdyż K. D. H. zaczyna narzekać na koszty, związane z wydawnictwem.

Do Dobrych i Wielkich Przyjaciół „Harcerza“: p. Stefana Żeromskiego, prof. Janusza Iwaszkiewicza, prof. Juljusza Klejnera, p. Antoniego Olszewskiego, p. Aleksandra Świętochowskiego, dr. Zofji Szmydtowej.

Nasze słowa podzięki serdecznej, gorącej są tylko bardzo słabem odbiciem tej radości, jaka zapanowała wśród czytelniczek i czytelników „Harcerza“ na wieść, że ci, którzy dzierżą prym w literackiem, naukowem i publistycznem życiu Polski wesprą naszą pracę.

Podnieśliście Państwo swoją ofiarną gotowością wiarę młodzieży w jej usiłowania, zapał do pracy i chęć dążenia w te wyżyny, któreście Wy osiągnęli.

Więc nie tylko za Wasze artykuły, ale też przedewszystkiem za wyrażenie tego radosnego zapału—dzięki Wam składamy gorące.

Redakcja.

Św. JERZY — PATRON SKAUTÓW.

Drużyna każda ma swego Patrona, którego z pośród wielkich mężów narodów obrała sobie, aby w życiu codziennem harcerzy mieć wzór do naśladowania, mieć przykład i zachętę na pionierskiej drodze życia.

Wielka braterska drużyna skautów chrześcian całego świata ma za patrona św. Jerzego, rycerza bez zmazy, co wolał śmierć, niż zaparcie się wiary.

Św. Jerzy był to dzielny wódz rzymski, syn męczennika, lubiany i wyróżniany przez cesarza Djoklecjana (r. 284 — 305), dzięki waleczności i prawości znany szeroko w państwie rzymskiem. O jego odwadze i gotowości do poświęcenia się w obronie bliźnich istnieje szereg legend.

Najpiękniejsza z nich opowiada, jak to św. Jerzy pokonał strasznego smoka, który żył w pobliżu afrykańskiego miasta Syleny i trzymał w strachu i trwodze całą ludność miasta, żądając codziennie jednej dziewicy na pożarcie. Tak się zdarzyło, że w tym właśnie dniu, w którym św. Jerzy przybył do Syleny, z wyboru losu miała być oddana piękna i młodziutka królowa Kleodolinda, córka króla Libji. Św. Jerzy postanowił narazić swoje życie dla ocalenia królewny i uwolnienia miasta od potwora. Wyruszył więc na spotkanie smoka, po długiej i ciężkiej walce pokonał go i zabił. Ludność miasta okrzyknęła św. Jerzego największym bohaterem owych czasów, król, królowa i cała rodzina królewska przyjęli chrześcijaństwo.

Wkrótce nadeszła godzina o wiele cięższej próby: cesarz Djoklecjan nakazał srogie prześladowanie chrześcjan. Św. Jerzy. który dotychczas, jak podówczas w pogańskiem otoczeniu było we zwyczaju, wyznawał wiarę Chrystusową potajemnie — ani chwili nie zawachał się narazić swe stanowisko, wielki majątek, łaskę cesarską, gdy nadeszła potrzeba wyznania wiary. Udał się do cesarza i żądał od niego cofnięcia rozkazu, wydanego przeciw chrześci-

jaństwu. Cesarz w odpowiedzi wtrącił go do więzienia, poddał strasznym torturom, a potem skazał na śmierć. Śmierć męczeńska św. Jerzego przypadła ok. 300 r.

Św. Jerzy uosabia nasze ideały harcerskie: silny charakter w służbie prawdzie i bliźnim, twardość przekonań i wytrwania w nich aż do śmierci, cnoty męskie: dzielność fizyczna i moc ducha.

„Tak harcerz nie przygląda się biernie, jak ludzie cierpią i giną, ale śmiało, odrazu, bez wahania rzuca się na ratunek, do walki staje — a żadnej dla siebie nagrody nie pożąda, jego wszytkich wokoło do górnego życia i do wolności synów Bożych porywa za sobą.

„W dniu tym harcerze całego świata modlą się do tego orędownika, abu im uprosił u Boga serce rycerskie i duszę świetlaną — i gromadzą się, by zaświadczyć przed światem, że tak, jak on, czują i działają—zawsze gotowi, zawsze wierni, zawsze wytrwali na służbie Boga i dobrej sprawy na ziemi“ *).

W dniu tym także skauci całego świata za przykłanem skauta Naczelnego, przesyłają sobie nawzajem pozdrowienia, jako wyraz światowego braterstwa skautowego, dla umocnienia się w służbie ideowej, jako że silniej się człowiek czuje w gromadzie.

St. Sedlaczek.

---

*) Ks. K. Lutosławski.

Harcerz — Misjonarzem.

Pismo młodzieży: „Wiara i Czyn“ zamieszcza wezwanie, w którem czytamy:

„W ciężkich dzisiejszych czasach niekażdy może pozwolić sobie na zbytnią ofiarność materjalną. Można jednak robić bardzo wiele dla siebie i innych bez wielkich trudów. W Kongo jest przeszło 15 miljonów pogan. Nawracanie ich jest wielkim obowiązkiem świata chrześcijańskiego. Każdy więc chrześcijanin z łatwością przyczynić się do tego może, przesyłając uzbierane, już zużyte, znaczki pocztowe pod adresem: *Oeuvre de Timbres; Srand Séminaire, Liége (Belgique) lub do Ks. Kanonika Dobockiego, Lwów, Ujejskiego Nr. 8.*

Chodzi tylko o zużyte marki pocztowe. Tak niewiele, a jednak z tych marek jest na cele misyjne wśród pogan 17000 franków rocznie.“

Podajemy tę wiadomość w dwojakim celu. Po pierwsze—każdy harcerz, który szuka sposobności dobrego uczynku, otrzymuje świetną sposobność. Po wtóre — może ów uczynek podwoić, o ile namówi inne i innych do zbierania marek.

Ale do tej, tak łatwej, roboty trzeba się wziąć po harcersku, t. j. wytrwale i uczciwie. Dopiero wtedy przyniesiemy korzyść, jeżeli marki *będziemy wysyłali stale i w jednych odstępach czasu.* Zbieracz musi wziąć sobie za punkt honoru, aby *żadna marka w domu nie poszła na marne.*

Myśl rzucona, niech wcieli się w czyn!

W. S.

Harcerce zza rubieży.

Siostrzyczko droga — z ojczystej ziemi
Chciałabym przesłać ci szczęścia tyle,
Aby twe oczy chociaż przez chwilę
Widziały cudy polskiego kraju,
Ażebyś, patrząc gdzieś w przestrzeń niemi,
Widziała piękno ojczystej ziemi. —

* * *

Gdy zima gości w polskiej krainie
I w posiadanie weźmie ją całą,
To kędy spojrzeć — srebrno i biało,
Wśród śniegu toną miasta i lasy,
Księżyc puch barwi, gdy w noc wypłynie....
Cudna jest zima w polskiej krainie.

* * *

Gdy wiosna świta w polskiej ziemicy,
Tamy lodowe rwą groźne fale
I pędzą wielkie do mórz zuchwale. —
W przestrzeni wielkiej motyli roje,
Ptaki świergocą w złud tajemnicy....
Piękna jest wiosna polskiej ziemicy.

Gdy lato przyjdzie — ozłaca pola
W przepyszne kwiaty, rozwija pąki,
Barwny kobierzec rzuca na łąki,
Zapachem mocnym dyszy świat cały,
Jaśniejszą życia zdaje się dola,
Gdy polskie lato ozłaca pola. —

* * *

Gdy wreszcie jesień z wichrem przybywa,
Drzewa zrzucają z gałęzi brzemię. —
Moc złotych liści spada na ziemię
A wichr je rzuca na lasy, bory!
Deszcz smętnie w szybach okien przygrywa,
Gdy jesień w ziemi polskiej przybywa.

* * *

Są wielkie góry Imię im — Tatry,
W nich śpiący rycerz, Gewontem zwany,
Potoków srebrem poprzecinany —
Szczyty: Świnica, Zawrat, Mnich siwy
Wśród swych wąwozów znicz świętej watry
Przed wrogiem skryły — mocarne Tatry.

* *

Są inne cudy w ojczystym kraju:
Wielka stolica — zamkowe mury,
Moc Ostrej Bramy i Jasnej Góry,
Potęga pieśni, co w wichrze lata...
I skarby, piękno, miłość, co splata
Z przyrodą w całość ludzi w tym kraju.

Jadwiga Zienkiewiczówna
(z wydz. Zagr. IV. G. K. Ż.)

Zastęp w mieście.

Często w zimie lub podczas wiosennej słoty pogoda nie pozwala zastępom wyruszyć w pole; dla chłopców, znudzonych czterema ścianami izby, czy szkoły, pozostaje ostatnia deska ratunku — ćwiczenia w mieście. Trudność leży w tem, że napozór teren jest niewdzięczny, bo zwykle się kończy nieoczekiwanie, np. dozorca wyrzuci za kark na ulicę kilku na śmierć walczących w bramie przeciwników, albo policjant spisze protokół za nadużycie urzędowego gwizdka.

Zresztą pomysłowość naszych harcerzy nie zawsze odpowiada zaszczytnej opinji. Gra Morgana z przekradanką, sztuczną brodą, lub bez brody, zając i... zdaje się wszystko.

Cechą zasadniczą tych gier jest to, że każdy chłopiec działa na własną rękę, a rola dowódcy kończy się z chwilą umieszczenia grających na stanowiskach.

Gier, w którychby cały oddział był stale pod kontrolą prowadzącego, nie spotykamy. Bo też podobne gry są trudne, trudniejsze bodaj niz w terenie, wymagają zaś wyrobienia poszczególnych harcerzy. Zalety ich są jednak znaczne. Przyzwyczajają bowiem chłopców do poruszania się w warunkach, w których, w większości, będą przez całe życie przebywać, wyrabiają panowanie nad sobą, pamięć, spostrzegawczość.

Wstępem niech będzie zwykły marsz ubezpieczony zastępu po ulicy.

Zasadami, które bezwględnie winni wszyscy przestrzegać, będą: Zastęp — powiedzmy w sile 7 ludzi — jako całość, musi być niewidoczny nietylko dla nieprzyjaciela, ale i dla przechodniów. Wobec tego nie wolno biegać, lub przebiegać pędem ulicy na wezwanie zastępowego, nie wolno krzyczeć, nie wolno zatrzymywać się bez upozorowania powodu (pozorem takim, może być oglądanie wystaw lub zatrzymanie się na przystanku tramwajowym). Nie wolno robić wyraźnych gestów, jak machanie ręką i t. d. Dla straży bocznych np. powinno wystarczyć kiwnięcie głową. Zresztą zastępowemu najwygodniej posługiwać się łącznikiem.

Szyk ubezpieczony zastępu na ulicy, to klasyczny „szyk patrolowy" odpowiednio ściśnięty. A więc: straż tylna i lewa posuwają się lewym chodnikiem. Zastępowy z łącznikami (tu 2), straż prawa i przednia idą chodnikiem prawym. Zastępowy powinien się posuwać możliwie równolegle do lewej straży, co umożliwi mu utrzymanie stałej łączności. Straż prawa idzie o parę kroków przed zastępowym.

Odległości zawsze jednołącznej ustalić nie można. Winna być taka, aby wszyscy harcerze widzieli ruchy zastępowego. W niedzielnym tłumie może się też zmniejszyć do paru kroków, co nie pozwoli na rozproszenie zastępu.

Regułą bodaj najważniejszą będzie: każdy z harcerzy, na każdym posterunku (z wyjątkiem wyraźnego zakazu) musi stale zwracać uwagę na zastępowego i do niego stosować swoje ruchy. Przednia straż, przynajmniej co minutę, powinna oglądać się dyskretnie.

O ile zastęp idzie ulicą według danych z góry, należy przestrzegać reguł wskazanych. Straże badają tylko pobieżnie bramy i, o ile to możliwe, przez szyby obserwują wnętrza sklepów. Jeżeli zastępowy chce zatrzymać oddział, wystarczy, gdy sam stanie, posyłając łącznika do przedniej straży. Kiedy straż zobaczy coś

ważnego i chce o tem dać znać zastępowemu, powinna skinięciem głowy, lub nieznacznym ruchem zawiadomić go, nie opuszczając stanowiska. Zastępowy, albo podejdzie sam, albo każe łącznikowi zmienić straż, która będzie mogła podejść do jądra zastępu, lub wreszcie każe łącznikowi spytać o spostrzeżenie.

Przednia straż może się zatrzymać i wyczekać na przyjście reszty oddziału. Zawsze musi to czynić, gdy znajdzie się na zbiegu ulic, a nie wie, w którą stronę się udać. Jest to stałą wadą przednich straży, że chcą, aby się oddział do nich stosował, a nie odwrotnie. Najczęściej będzie to niemożliwe i dlatego gubią się tak często.

Zbiórkę zarządza się, albo przez rozesłanie łączników, albo przez skinięcie głową w kierunku idących. Tak samo zastępowy wzywa do siebie poszczególnych harcerzy.

„Wielka sztuka spacerować po mieście", widzę już, pełne pogardy miny czytelniczek i czytelników, a cóż wam na to odpowiem? Spróbujcie. Może jednak takie ćwiczenie, które trzeba przerobić z miną spacerowicza, bez prawa wydania głosu i zrobienia wyraźnego ruchu, gdzie wreszcie 7 chłopców musi udawać, że nic ze sobą nie ma wspólnego, a porozumiewać się stale, wymaga trochę sprytu.

Gry: I. Tropienie przechodnia. — Zastęp niepostrzeżenie posuwa się za przechodniem. Przednia straż (zastępowy może ją zmieniać w czasie marszu). musi zbadać możliwie dużo danych co do tropionego na podstawie obserwacji.

Gra II. Inna odmiana: Tropionym jest znajomy z-go. Pozwoli to prowadzącemu na skontrolowanie trafności wniosków harcerzy.

Gra III. Inna odmiana. Tropiony chce ujść z pod obserwacji. Nie wolno mu biec, wchodzić do sklepu i t. d.

Gra IV. Nieznająca harcerzy osoba jest uprzedzona o przemarszu zastępu i obserwuje ulicę, o ile uda się jej wskazać członków zastępu, wygrywa.

Gra V. Obserwator zna badaczy. Zastęp idzie przebrany.

W. S.



SKAUTKI ANGIELSKIE.
Zastęp 1-szej Drużyny w Rock-Ferry.

KOREPETYTOR.

JÓZEFA CHWALIBOGOWA.

— Nie narzekać, mamuś! Trudno. Tak być musi. Pojadę, zarobię przez ten rok, uskładam na pierwsze studja na technice. Ty dać mi nie możesz na to. Musisz pamiętać o młodszych. Stach i Zbyś są jeszcze na twej głowie. Ja, najstarszy, powinienem przyjść ci z pomocą. Zresztą jadę na wieś — na bajeczne powietrze — na pański wikt! Już mama rozpoczać nie będzie, że jem za mało, by innym nie brakło... Upasę się tak, że mnie mama nie pozna. No, mamuś — rozjaśnić czoło i nie psuć Stefkowi ostatniego wieczoru w domu.

Z takiemi słowy ośmnastoletni chłopak, rosły, jak świerk z czarną, bujną czupryną i błyszczącemi czarnemi oczyma pochylił się do rąk smutnej, kobiety, której blada twarz nosiła ślady bolesnych przejść. Podniosła nachłopca oczy pełna tkliwości, w których obok smutku przebijał lęk jakiś i szepnęła:

— Biedne, biedne dziecko moje! Na tułaczkę pójdziesz, na służbę wśród obcych. Jeżeli ojciec twój widzi to z zaświatów o! — i westchnęła ciężko,

Chłopak wyprostował się — poczerwieniał.

— Mamo! Tak nie trzeba! Prawda, idę na służbę. Harcerzem jestem. Komuż bardziej mam być pożyteczny, jak nie tobie, mamo! A tem że przyjmę u Górskich tę korepetycję pomogę tobie i sobie, a studjom drogę utoruję. Będę miał dach nad głową, ciepłe ściany, obfity stół, nawet frykasy i inteligentnych ludzi w koło siebie. Na święta przyjadę. Dziś już koniec października, a święta w grudniu.., Przeleci jak sen!

Pani Buszyńska wstrząsnęła smutnie głową...

— Młodemu łatwiej czekać, ale mnie do żałoby ból przybywa... A i tak już ciężko mi bardzo—synu!

Stefek ukląkł przed matką. Złożył głowę na jej kolanach i szeptał:

— Przetrwamy matuś. Zło minie. Po roku wrócę z pełną kabzą. Wstąpię na politechnikę i będę już przy tobie. Lekcjami dorobię trochę grosza, ale już się nie rozłączymy.

A potem... pan inżynier zapewni sobie życie bez troski i braciom ukończenie nauk. Rada będziesz z twego syna, matuś! A teraz chodźmy poszukać Zbyszka, bo on pewnie gdzieś się w kącie maże.

Powstał sprężyście, wziął matkę pod rękę i wyszli do drugiego pokoju, gdzie istotnie pod wieszadłem z okryciem stał dwunastoletni, szczupły, jasnowłosy chłopak i wtuliwszy głowę w jakieś futerko łkał na pół głośno, mimo widocznej chęci ukrycia swego żalu przed okiem patrzących.

— Zbychu! kto widział! Cóż mnie tak opłakujesz? Choć Litwa daleko, ale to przecież i tak nie za morzem. Będę pisał — poszlę ci marek — a potem przyjadę!

Zbyszek otarł łzy — które ciężkiemi perłami sypały mu się z oczu. Stefek objął go serdecznie, a pochyliwszy się nad nim szepnął:

— Uważaj na mamę!

Zbyszek przez łzy począł się uśmiechać, choć pierś chłopięcą szarpały mimowolne łkania.

— Stefku ja nic. — To tylko raz. Ale ja wiem, że jechać musisz. I ja, jak dorosnę tak samo pojadę.

Pani Buszyńska objęła głowy obydwóch chłopaków i przycisnęła do piersi.

— Moje wy! moje! pociechy serdeczne.

Zachodzące słońce padając z ukosa przez duże okno krwawą poświatą ogarnęło te trzy, uściskiem złączone, postacie, które los miał nazajutrz rozdzielić.

* * *

Bryczka wioząca Stefka Buszyńskiego ze stacji, stanęła przed obszernym dworem w Stołbiszkach. Godzina była poranna i okna, pozasłaniane żaluzjami, wskazywały, że mieszkańcy dworu jeszcze śpią. Tylko na turkot kół w dziedzińcu okno na piąterku uchyliło się i przez chwilę mignęła w niem chłopięca głowa.

Stefek wyskoczył z bryczki i zajęty otrzepywaniem sproszonego palta nie spostrzegł śledzących go z piąterka oczu. Stał potem chwilę niezdecydowany co robić, gdzie iść... Serce ścisnęło mu niemiłe uczucie osamotnienia. Nagle zadudniły schody we wnętrzu dworu, jakby biegł po nich tabun dzikich koni, trzasnęły z mocą drzwi oszklone i na taras wpadł chłopak może 15-letni — krępy, jasnowłosy w rozchełstanej koszuli.

— A, witam! — krzyczał już z daleka w stronę Stefka. To pan ma być tym, co mnie ma nauczyć w książkach smakować. Dobrze, że widzę pana pierwszy bez mamci i papy, bo chcę panu otwarcie powiedzieć, niech się pan nie trudzi. Zapowiadam z góry. Uczyć mi się nie chce i uczył się nie będę.— Ale z pana tęgi chłop. Pan mi się podoba. Na polowania będziemy chadzać — na kaczki na jezioro — na odyńce w las. Dobrze, panie? Ale pan nie wie, z kim ma „przyjemność", jak mówi mamcia.

Skoczył na środek tarasu — szurgnął nogami po kamiennej posadzce.

— Witold Górski jestem. A Pan?

— Stefan Buszyński — odpowiedział poważnie, dźwięcznym głosem Stefan. — Tak się zdarzyło, że mamy żyć razem. Wiedz, kolego, że nie zamierzam cię nudzić, o ile mi w tem pomożesz.

Podał mu rękę, którą tamten zamaszyście uścisnął.

— Tak, to mi się podoba! Przyjaciółmi będziemy na polach—ale do książki niech mnie pan nie nagania, bo z przyjacielstwa będą nici... Pan Bajer chciał ze mnie zrobić filozofa i takem mu to przedsiewzięcie osłodził, że za 3 miesiące na chłopskiej furze uciekł! — A teraz — proszę za mną—pokażę panu jego apartament. W pokoju tym dotąd była rupieciarnia i mieszkały myszy, ale mama mówi, że „taki z Warszawy nie będzie wybredny"...

Stefkowi coraz bardziej robiło się obco i smutno, gdy szedł po schodach na piąterko za niesfornym chłopakiem, perorującym głośno i rubasznie. — „Czy on z nim poradzi?! Czy nie ucieknie, jak tamten poprzednik od zbyt ciężkiego, nad siły zadania..." Lecz równocześnie budziła się w nim jakaś zawziętość i dziwił się sam dlaczego, ale jakaś radosna ciekawość, czy zdoła obowiązek spełnić.

Chłopak idący przodem minął jedne drzwi na górze ze słowami:

— Tu ja—i stanął przed drugiemi

— A tu pan i myszy...

Przycisnął klamkę —pchnął drzwi kolanem i stanęli w miłym, wybielonym—ogrzanym pokoiku, z dużem oknem, przez które teraz padały, jak na komendę z za chmur i mgły październikowej blade promienie wschodzącego słońca...

— Dobry znak — pomyślał Stefek. U wrót nowego życia — wita mnie słońce; muszę to mamie napisać. Pojaśniały mu oczy i raźniej zrobiło się na duszy.

Tymczasem młody Górski wykręcił się na pięcie i z życzeniem:

— Baw się pan dobrze, ja idę kończyć spanie—wybiegł, trzaskając drzwiami.

Stefek pozostał sam. Nadrabiał miną — ale było mu obco i trochę się swej nowej roli bał. — Służący po chwili wniósł mu jego walizkę— upakowaną przez drogie, pracowite ręce matki.

Otworzył ją—wyjął bieliznę, ubranie, by się przebrać po całonocnej jeździe w wagonie. Gdy siegnął głębiej po mydło i grzebień, palce natknęły na jakiś pakiecik. Rozwinął go i serce zabiło mu ze wzruszenia. To był cel jego westchnień. Ojca złoty zegarek — i fotografja ojca z dopiskiem matczynej ręki. „Gdy ci będzie ciężko Stefku—gdy staniesz na rozdrożu — patrz w oczy ojca i postępuj zawsze tak, byś śmiało mógł w te oczy patrzeć". Pochylony nad odbiciem ukochanej, aureolą bohaterskiego zgonu otoczonej głowy przedwcześnie zgasłego ojca, długo stał Stefek i marzył.

— No, młody panie, witam! serdecznie witam pod moim dachem— zabrzmiał za nim niski, tubalny głos. Stefek zbudzony z rozmyślań odwrócił się szybko i ujrzał w drzwiach grubego, siwego pana, typowego hreczkosieja o miłem, otwartem, za serce biorącem obliczu.

Skłonił się z uszanowaniem, zażenowany trochę swojem poprzedniem zamyśleniem — a gruby pan podszedł do niego, wyciągnął dłoń i uścisnąwszy serdecznie rękę Stefka rzekł:

— Witaj chłopcze! Daj Boże, by ci u nas było dobrze. Całą duszą tego pragnę dla ciebie i dla siebie. Nie taję Zadanie czeka cię ciężkie. Tolka już widziałeś. To kawał hycla, ale serce złote. Matka go psuje. Ale dobrocią zrobi się z nim dużo. Byle tylko nabrał zaufania i polubił cię— będzie wszystko dobrze. — No, ale chciałeś się pan oporządzić — nie przeszkadzam więc dłużej. Śniadanie o 8-mej. Tolek po Ciebie przyjdzie. kawalerze. A teraz żegnam. Uścisnął dłoń Stefka raz jeszcze i wyszedł.

Przy śniadaniu pani Górska — blada, zmanierowana przywitała młodego korepetytora bardzo sztywnie i po wielkopańsku. Zdawało się Stefkowi, że od alabastrowych jej palców, których końce podała mu do pocałowania, szedł mróz...

— Czy uczył już gdzie? i kogo?— spytała sztywnie gdy, zabrano miejsca przy stole.

A gdy się dowiedziała, że to pierwszy Stefka występ, zaczęła dyktować mu rady i wskazania. Jeżeli nie uczył jeszcze—niech wie, że Tol jest słabowity. Przemęczać go nie można. Trzeba mu podawać naukę już dobrze przetrawioną, w najdostępniejszej formie, by chłopak się nie nużył nad książką. Stefek słuchał i potakiwał, a oczyma szukał śladów chrobliwości i przemęczenia na opalonej, dziarskiej twarzy przyszłego swego ucznia.

A ten z za pleców matki pokazywał mu figę.

Starego Górskiego nie było przy śniadaniu, bo pojechał na objazd folwarków, więc Stef czuł się tu bardzo obco i siedział jak na szpilkach.

Po śniadaniu pani zakomunikowała mu, że dziś jeszcze lekcji nie będzie—a od jutra mają się one odbywać w godzinach przedpołudniowych od 8 do 12-tej, zaś po południu ma spędzać na spacerach i rozmowach z Tolkiem, jako jego opiekun i towarzysz.

* * *

— Panie Stefanie! rzućmy te mądrości i chodźmy trochę w świat! Weźmiemy strzelby, pójdziemy ku jeziorom. Kaczki już są. Przymrozek dobry, poranek cudny, chodźmy, nie marudźmy, bo ja sam dziś i tak uważał nie będę.

Tolek odsunął z trzaskiem krzesło od stołu, przy którym od godziny

siedzieli ze Stefkiem przy nauce. Stefan spojrzał na niego poważnie.

— Dobrze, pójdziemy, ale popołudniu. Nie rób mi tego Tolku, by odchodzić, bo musiałbym znowu sam siedzieć do 12-ej, jak kiedyś.

Tolek parsknął:

— A, dobrze niech pan siedzi sobie, gdy panu miło w tej klatce! Mnie ciasno! Tchu mi brak! A tam na dworze wesoło, dobrze! — No, idzie pan?

— Nie mogę — Obowiązek mój do 12 uczyć, a dopiero 9-ta.

— A, to niech pan gnije! zakażony mieszczuch! Trzasnął drzwiami i wyszedł gwiżdżąc.

Stefek wsparł głowę na ręce i wpatrzył się w okno. Co robić — jak postępować z tym chłopakiem? Miesiąc już minął jego pracy i wysiłków, by Tolka czegoś nauczyć, i zdobyć przytem jego zaufanie, a wszystkie usiłowania rozbijają się o nieobliczalny humor i nieokiełznany upór chłopca.

Drzwi się uchyliły — weszła pani Górska.

— Pan sam?... Znowu... Gdzie Tolek?...

— Nie mógł wysiedzieć dziś w zamkniętym, dusznym pokoju. Nie był w stanie uwagi skupić. Nęcił go zbytnio piękny poranek i poszedł — odrzekł, kłaniając się, Stefan.

Pani Górska niechętnie skrzywiła usta.

— Powinność pańska być w rannych godzinach z Tolkiem.

Chłopak poczerwieniał.

— Obowiązki moje znam. Sądziłem jednak, że pozostanie moje skłoni Tolka do odstąpienia od zamiaru pójścia na polowanie. Nie udało się jednak. Tolek poszedł na kaczki.

— Więc proszę za nim teraz iść, a lekcje odbyć po obiedzie.

Pani Górska wyszła, szeleszcząc jedwabiem, a Stefek zmagał się czas jakiś ze zniecierpliwieniem, z niechęcią do swego ucznia i zwątpieniem we własne siły.

Po chwili szedł w stronę jezior. W miarę, jak oddalał się od domu, gdzie go nie po raz pierwszy spotkała niesprawiedliwa nagana ze strony pani i przykrość ze strony jej syna, w miarę jak brał go w siebie bezbrzeżny, pełen bagien i oparzelisk, porosłych zielenią, krajobraz litewski—robiło mu się na sercu lżej i w duszę wpływała wielka cisza, niosąca z sobą wyrozumiałość dla ludzkich błędów — a z nią — przebaczenie.

Zahukał umówionem hasłem. Z głębi zarośli odkrząknął odzew niesforny uczeń. Po chwili dojrzeli się nawzajem.

— A! jak to dobrze, że pan przyszedł! Jedną kaczkę już mam—podniósł w górę ładną cyrankę — za drugą, zranioną pies goni... Coż — pociągło i pana nad wodę?

— Nie, chłopcze. Dostałem naganę za ciebie i rozkaz, by cię szukać, więc jestem.

— Stary złił się na mnie?

— Nie — ojca niema w domu.

— Więc stara? E, to furda. Baba zawsze gderać musi — od tego ma język.

— Tolku — proszę cię, nie wyrażaj się tak przy mnie o matce. Matka — jej serce, to skarb niczem nie zastępiony w życiu — to świętość!

— E, bo pan zaraz z deklamacją. Ja matkę kocham, ale taki już mam jęzor. A teraz — chodźmy!

I pomknął w stronę, gdzie odzywał się rycerski dyszkant naszczekującego na zdobycz psa.

Z powrotem nieśli cztery kaczki i szli pełni triumfu i rozradowani, uśmiechnięci, młodzi, szczęśliwi.

— Pięknie tu u nas, prawda, panie — przerwał milczenie Tolek.

OBOZY LETNIE.

Zbliża się lato szybkiemi krokami, czas więc najwyższy pomyśleć o obozach i kolonjach. Dzięki energicznej akcji obozowej w latach ubiegłych, zajęło u nas obozownictwo pierwsze miejsce wśród technicznych umiejętności harcerskich i doszliśmy do stosunkowo dużego wyrobienia obozowego.

Ostatnie zestawienie Wydziału Obozów i Wycieczek Gł. Kw. M. wykazuje, że w ubiegłym roku dotychczasowa akcja nieco podupadła, obozów mieliśmy mniej, a i pod względem jakości ich nie posunęliśmy się naprzód.

Dużem, aczkolwiek niezupełnem, usprawiedliwieniem jest Zlot Narodowy i Międzynarodowe „Jamboree".

Największą jednak przyczyną osłabienia tętna życia obozowego było zbyt małe zainteresowanie się tą sprawą, nieprzygotowanie i niedopilnowanie drużyn, jak to słusznie zaznaczył Komendant Chor. War. Drużyny nasze przyzwyczaiły się bowiem do tego, że przed każdą akcją trzeba im przypominać, pisać i nawoływać do urządzenia wycieczki, obozu, sprzedania biletów loteryjnych i t. p. Zbyt mało mamy inicjatywy, siły żywotnej i własnych postanowień w drużynach.

Pamiętajcie Druhny i Druhowie, że obóz letni jest najistotniejszym okresem w rocznej pracy drużyny, jest terenem, gdzie stosowanie Prawa Harcerskiego i wyrabianie charakteru przychodzi najłatwiej, gdzie zarówno ideowe, jak techniczne i fizyczne wyrobienie można jednakowo rozwinąć. Bo i gdzież, jak nie w obozie, można najłatwiej poznać i ukochać przyrodę, gdzie można lepiej stosować zasadę harcerskiego współżycia i braterstwa, gdzie wreszcie, jak nie w obozie, można nauczyć się porządku, karności, służby bliźnim i pracy społecznej.

Oto dlaczego przyjęto przy corocznej kwalifikacji drużyn zasadę, że za „harcerską" — może być uznana tylko ta drużyna, która w ciągu lata urządzi obóz przynajmniej dla połowy swych członków.

W tym roku musimy potroić starania i doprowadzić do tego, aby wszystkie drużyny wyjechały na obóz.

Przy urządzaniu obozów, — ważną rzeczą jest teren. Nie jest rzeczą obojętną, gdzie obóz urządzić. Jak w 1920 roku trzeba było obozów na Pomorzu, tak dziś potrzeba na Kresach Wschodnich.

Tam, na wschodzie, gdzie Harcerstwo jest jeszcze w kolebce, gdzie warunki pracy są bez porównania trudniejsze, tam trzeba propagandy harcerskiej, a jeszcze ważniejszą rzeczą jest potrzeba krzewienia polskości na Kresach.

Ten oto czynnik musi zadecydować o terenach tegorocznych obozów harcerskich. Kardynalnym obowiązkiem harcerskim, pozostającym do spełnienienia w roku bieżącym będzie pojście na Kresy z kagańcem oświaty, kultury, a nadewszystko z młodzieńczym zapałem, wiarą i duchem.

Jeszcze jedna sprawa. Wydział (VII) Drużyn polskich zagranicą, postanowił wzorem lat ubiegłych przyjść z pomocą drużynom polskim na obczyźnie i sprowadzić jak największą ilość drużyn tych do kraju, rozlokowując je w naszych obozach. Niechżeż więc nie będzie drużyny, która z własnej inicjatywy nie zadeklaruje przyjęcia conajmniej 2-ch harcerzy do swego obozu i nie otoczy swych braci i gości staranną opieką i sercem, ażeby czuli, że są w Polsce, w harcerskim obozie.

Więc pamiętajcie o Kresach i harcerzach na obczyźnie!!!

Em. „Trzynastak" z Warszawy.



Berlińska drużyna im. Zawiszy Czarnego w komplecie.

Do braci harcerzy!

IV. Harcerz w każdym widzi bliźniego, a za brata uważa każdego innego harcerza.

Harcerska drużyna z Berlina przesyła nam następującą korespondencję.

Hen, nieraz setki kilometrów od granicy polskiej oddaleni, wśród żywiołu zupełnie obcego, żyje kilkuset harcerzy i harcerek polskich. Czy to w Niemczech, Rumunji, Francji, Czechach, czy na Łotwie, lub na dalekim wschodzie, wszędzie znajdujemy ich zastępy w pracy nad utrwaleniem ideału harcerskiego. Jeden ideał nas łączy, jedna myśl nas prowadzi i wspólna miłość do Ojczyzny, w myśl drugiego prawa harcerskiego, czyni te zastępy cząstką harcerstwa polskiego. Chcąc w całej pełni wypełniać zadania prawa harcerskiego, należy również pogłębiać się w piśmiennictwie polskiem, a przedewszystkiem poznać swój kraj, kraj przodków walecznych, nietylko z opisów, lecz również przez przebywanie w nim, lub urządzanie wycieczek krajoznawczych do kraju. Muszę zwrócić uwagę na to, że w wielu krajach, gdzie harcerstwo polskie istnieje, jak np. we Francji, Niemczech, Czechach i t. p., w drużynach grupuje się młodzież robotnicza. W żywiole obcym łatwo młodzież robotnicza zgubić się może.

Wracam jednak do tematu. Po pierwsze chodzi tym drużynom o pomnożenie swych bibljotek lub o urządzenie takowych. Rzucamy zatem apel: zbierajcie książki treści belletrystycznej, a także popularno naukowe dla tej młodzieży. Młodzież robotnicza w naszych drużynach zagranicznych nie posiada środków odpowiednich na

zakup takich książek z powodu nader marnych warunków gospodarczych.— Musimy się przyznać, że zamiast o książkach, o zwiedzaniu kraju ojczystego myślimy i na to składamy wszystkie oszczędności. Młodzież nasza z drużyn zagranicznych łaknie zobaczenia się z bracią z kraju i poznania Polski. Są projekty wycieczek do kraju, brak jednak funduszów odpowiednich, a od rodziców nie można żądać takiego nadzwyczajnego wydatku. Więc próbujmy sami — może uda się nam wszystkim zaoszczędzić na podróż dla 1—3 osób.

I tu zwracam się do Was, harcerze, pomagajcie, ile w Waszej mocy. Rzucam Wam myśl następującą: Każdy harcerz w kraju dla braci swych zagranicą w ciągu obecnego roku niech odłoży—50 lub więcej groszy, a zbierze sie przy dobrej woli dość poważna kwota, która pozwoli urządzić wielką ilość wycieczek krajoznawczych i wyposażyć bibljoteki polskich drużyn zagranicznych w dostateczną ilość książek treści bellestrycznej, a jeśli będzie można — i naukowej. Druhny i Druhowie! Do czynu! W myśl prawa czwartego podążcie z pomocą zagranicznej braci harcerskiej, a spełnicie tem samem czyn, za który Wam dziękować będziemy całem sercem.

Chociaż czujemy konieczną potrzebę tych ciągłych stosunków z krajem, to jednak musimy odłożyć projekt wycieczek na dalszą przyszłość. Chyba, że stanie się jaki nadzwyczajny wypadek.

Czuwaj!

J. K-wski



Drużynowy berliński (w nienajpiękniejszej postawie).

Świat książki.

(Z książek nadesłanych do Redakcji „Harcerza").

Konrad Górski. Pogląd na świat młodego Mickiewicza (1815 — 1823) Warszawa, 1925, str. 151. Wyd. Kasy Mianowskiego. Cena 3 zł. 30 gr.

Zadaniem książki było wykazać, jakiemi drogami doszedł Mickiewicz do tych poglądów i przeświadczeń, które uczyniły zeń romantyka.

Bada więc autor krok za krokiem przemiany umysłowe i moralne młodego poety, budując swe wywody na gruncie idej wieku oświecenia, liczy się przytem z wiedzą i oczytaniem Mickiewicza. W sądach swych jest oględny i ostrożny. Przeprowadziwszy dokładną analizę, zdo-

bywa podstawy dla syntezy. „Mickiewicz — pisze — zrozumiał, że nie realizacja postulatów indywidualizmu, lecz całkowite poświęcenie się dla dobra innych było tą podstawą etyczną, w której on odnajdywał siebie".

Stosunek młodego romantyka do haseł i zasad Oświecenia nie był wrogi. „Mickiewicz, mając w sobie doskonałe wyczucie polskiej ewolucji kulturalnej, rozumiał, że Oświecenie wywarło na nasz rozwój najbardziej dobroczynny wływ i, hołdując romantyzmowi, ani myślał obniżać wartości haseł Oświecenia, które nas odrodziło.

Książka wymaga przygotowania. Czytelnik musi znać działalność pisarską Mickiewicza do r. 1823, inaczej bowiem nie będzie mógł wielu rzeczy zrozumieć. Kto chce poznać gruntownie przeobrażanie się poglądów Mickiewicza w pierwszej fazie jego twórczości, ten powinien koniecznie przeczytać tę książkę.

Z. Szmydtowa.

Kto wie, jaka jest forma ziemi? Czy mieszkamy na piramidzie?

Uczeni matematycy i geografowie zastanawiają się nad pytaniem, które dla wielu ludzi może być niespodzianką.

Jeżeli istnieje rzecz, która ogólnie wydaje się wyłączać wszelką dyskusję, to zdaje się być nią forma naszej ziemi. Każdy z naszych czytelników słyszał o tem, iż jest ona sweroidem, ciałem okrągłem, które przedstawia prawie, acz niezupełnie bryłę.

Lecz uczeni nie są dotychczas w stanie ustalić figury naszej planety, jako stałego modelu, który mógłby być przyjętym przez wszystkie kraje; a to z tej przyczyny, iż nikt w rzeczywistości dokładnie nie wie, jaki kształt ma ziemia. Wiadomem jest, że ziemia jest to ciało okrągłe, będące bryłą, wystającą u równika, a przypłaszczoną u biegunów, lecz powagi naukowe w rozmaitych krajach różnią się niedużo, bo co do stopnia rozciągłości tego zdeformowania, czyli jak je zowią „eliptyzacji" ziemi.

Spłaszczenie ziemi u biegunów i wypukłość u równika, stały się wiadodome później, gdy ludzie porównywali wymiary stopni, wykazane na wysokich i niskich szerokościach.

Lecz oprócz formy ziemi, jako całości, istnieje znaczna różnica w poglądach na formę litosfery, czyli części stałej naszej planety. Ta ostatnia była uważana przedtem za bryłę, lecz w ostatnich latach uczeni wskazują, iż jest w formie gruszki, której cienkie zakończenie wypada u bieguna południowego. Z tej myśli w dalszem opracowaniu powstała teorja, że litosfera ma formę tetrahedonu czyli czworobocznej piramidy, z lekko spłaszczonemi bokami. Płaskie boki pokryte są oceanami, a gdzie boki wystają, odnajdujemy lądy. Wszystko to dowodzi, że istnieje wiele wątpliwości co do rzeczywistej formy ziemi, i że słusznem jest, iż uczeni pracują nad ustaleniem ostatecznej prawdy.

Forma ziemi po wszystkie czasy była przedmiotem dyskusji między uczonymi. Był czas, gdy sądzono że świat jest płaską tarczą, potem, że jest bryłowaty, znacznie zaś później odkryto, że oś na biegunach jest mniejszą od

osi równikowej. Hebrajczycy i Babilończycy jako mieszkańcy równin i pustyń, sądzili, że góry, okalające ich horyzont, były granicami ziemi. Gdy zaś posunęli się ku Zachodowi, poza góry i odkryli morze Śródziemne, było rzeczą naturalną, że uważali ziemię za tarczę, otoczoną wieńcem gór i pływającą po wodzie. Nauczywszy się pływać po morzu, spostrzegli jednak że powierzchnia wody była wypukła, gdyż maszty okrętów zostawały widoczne przez długi czas, gdy statek zniknął, i to spostrzeżenie oczywiście naprowadziło ich na myśl że Ziemia jest bryłowatą. Poeta Dante, w odczycie na temat „Woda i Ląd“ jaki miał w Weronie 1320 r. oświadczył, iż powierzchnie lądu i morza przedstawiają się jako bryła i że lądy wzniosły się wyżej, ponad powierzchnię oceanów, gdyż są przyciągane przez gwiazdy stałe; była to pierwsza wskazówka o sile powszechnego ciążenia. Jest rzeczą zadziwiającą, że poeta, był jednym z pierwszych, jeżeli nie pierwszym człowiekiem, który o tem nauczał.

K.



Na wycieczce.

Święto Przyjaźni;

Skauci francuscy na wniosek druha Andrzeja Lefévre'a postanowili na całym terenie Rzeczypospolitej Francuskiej poświęcić jedną niedzielę w kwietniu na „Święto Przyjaźni“.

Ma ono polegać na tem, że każdy skaut i każda skautka spełniać będzie w tym dniu wszelkie przysługi i drobne i większe każdemu, kto będzie ich potrzebował, ale spełniać będzie z uśmiechem na ustach, z wyrazem serdecznej, niewymuszonej woli, jak naprawdę spełniać winien ten, kto czuje się przyjacielem potrzebujących.

Ten uśmiech, ta pogoda w chwili, gdy ktoś czy ustępując miejsca, czy odkładając swoją pracę, podejmuje pomoc innemu, czy odstępuje coś ze swego mienia — ten uśmiech stanowi nieraz więcej niż sama pomoc.

Może tą drogą zdołamy zaprzeczyć przysłowiu: Homo homini lupus.

Czy nie przydałoby się i u nas takie „Święto Przyjaźni“. *R. A.*

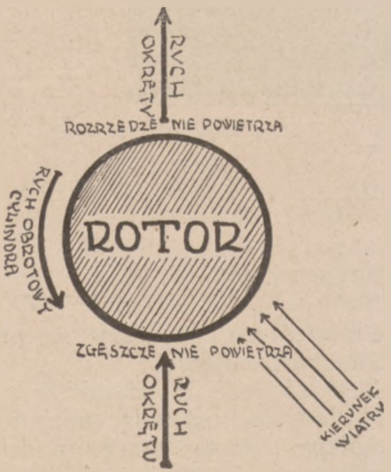
RÓŻNOŚCI.

BALON Z AEROPLANEM.

Nowy sterowiec angielski R. 101. będzie zaopatrzony w specjalne przyrządy, dozwalające mu nosić ze sobą, a właściwie pod sobą, bo u spodu przytwierdzone, aeroplany. W chwili odpowiedniej aeroplan taki, odczepiony od sterowca, będzie mógł wykonywać samodzielne loty. By zaś, po dokonaniu swego lotu, mógł płatowiec wrócić na swe stanowisko u spodu sterowca, załoga tegoż będzie opuszczała na linach specjalny aparat, a rzeczą pilota będzie tak pokierować swym samolotem, by się do aparatu tego przyczepić.

Nowy wynalazek.

Niedawno został zbudowany okręt, na którym, zamiast kominów i masztów, ustawiono dwa ogromnych rozmiarów pionowe cylindry. Spec-



jalny motor elektryczny porusza szybko te cylindry, zwane *rotorami,* dokoła ich osi, ruchem obrotowym.

Siłą, poruszającą okręt wprzód, jest wiatr: wystarczy bowiem, by powiał on z boku, a właściwie z ukosa (np. z prawej strony od tyłu), by za obracającym się cylindrem — rotorem wytworzyło się zgęszczenie, powietrza, a przed nim rozrzedzenie. Wywołane przez to zgęszczenie parcie na rotor wystarcza, by popchnąć okręt wprzód.

W wypadku, gdy wiatr wieje równolegle do kierunku poruszania się okrętu, rotor nie działa, a okręt porusza się przy pomocy dodatkowego motoru np. naftowego.

Oszczędności, osiągnięte przy zastosowaniu tego wynalazku, miast żagli lub pary, dochodzą do 60%.

CO MOŻNA ZOBACZYĆ CIEKAWEGO W TRAMWAJU.

1) Przepisy dla szoferów i wskazówki dla przechodniów, jak zachować się na ulicy.

2) Program wycieczek, urządzonych do różnych fabryk, teatrów, zakładów przez wydział ośw. i kultury Magistratu.

3) Program koncertów z b taniemi wstępami.

4) Ile osób, w jakim wieku z jakich sfer społecznych ustępuje miejsca kobietom i starcom? Czy ustępuje kto miejsca weteranom 63 roku.

5) Ilu mężczyzn, z jakich sfer społecznych zdejmuje kapelusz, gdy tramwaj mija kościoły?

6) Jak zachowują się konduktorzy; czy słuszna jest opinja, że konduktorzy są zwykle niegrzeczni.

Jeżeli coś ciekawego zobaczysz, może napiszesz do *Arcykota.*

Rozwiązanie szarady ogłoszonej w № 3-im:
„HARCERZ"

Nagrodę za najlepsze rozwiązanie: książkę K. Czyżewskiego „Maciek I Król Powietrza" otrzymał dh. Witold Grużewicz z Bełżca

Czyż nie wpływa sport umoralniająco.

Kto jeszcze wątpi w umoralniający wpływ sportu, niech czyta. Fakt ściśle autentyczny. Lord Lousdale, prezes Angielskiego National Sporting Clubu i wielki mecenas sportu, wychodząc z jakiejś imprezy bokserskiej, zauważył brak chronometru, niegdyś mu zaofiarowanego i stanowiącego dlań cenną pamiątkę. Skonsternowany Lord pocieszył się jednak nazajutrz: otrzymał pakiet, zawierający skradziony mu zegarek, a w załączeniu list, w którym złodziej przepraszał go usilnie: „Jestem wielbicielem sportu — pisał — nie mogę zatrzymać przedmiotu, należącego, jakem się dowiedział z podpisu, do tak wielkiego sportsmena".

Na tem nie koniec. W parę miesięcy potem Lord Lousdale otrzymał od tegoż osobnika drugi list. „Postanowiłem stać się znów uczciwym człowiekiem. Ale gdzie znajdę pracę? Zwracam się z gorącą prośbą dania mi po sportowemu sposobności do zwalczania swych nałogów".

I lord Lousdale po sportowemu dał złodziejowi sposobność rewanżu, przyjął go na swoją służbę! Oto 15 lat, jak dawny rzezimieszek należy do jego personelu, wyróżniając się rzetelnością i swem przywiązaniem. Pozbył się wszystkich nałogów... prócz zamiłowania do sportu. Ale to jak wiadomo, jest chorobą nieuleczalną.

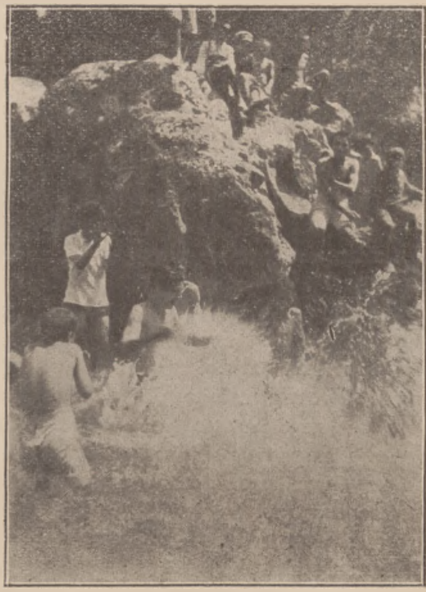
(Tyg. Sp. „Stadjon".)

Cenny kwiat.

Na ostatniej wystawie ogrodniczej w Londynie, wśród przepysznych okazów cieplarnianej hodowli, pośród kwiatów, które zdawały się być już nie kwiatami, a jakiemiś sztucznemi wytworami ludzkiej ręki, zwiedzający mogli podziwiać pewien, niezwykły w swej subtelności i delikatności egzemplarz *orchidei*.

Kwiat ten w istocie musiał być pięknym, gdyż znalazł się amator, który zapłacił zań 1,000 gwinej, czyli 25,000 złotych.

Rozkosze życia obozowego.



Skauci włoscy w kąpieli.

Naczelnictwo wydało ozdobny druk, z fotografjami zdobnemi i tekstem w obcych językach, dla zasyłania życzeń skautom zagranicznym w dzień Św. Jerzego. Nabywać można w C. Komisji Dostaw, Warszawa, Traugutta 2, w cenie 25 groszy za sztukę, 10 sztuk 2 złote.

STUART MARTIN.

Największa Tajemnica Oceanu.

(Tłumaczenie z angielskiego).

STATEK WIDMO.

Dnia 11-go lipca r. 1881 o godzinie czwartej rano jeden z doświadczonych marynarzy okrętu Bachantki spostrzegł i zameldował oficerowi o jakiemś dziwnem, czerwonem świetle, przesuwającem się po przodzie okrętu. W owym czasie Bachantka odbywała podróż dookoła świata, mając na swym pokładzie obecnego króla angielskiego i jego brata, księcia Clarence'a. W drodze tej towarzyszyły jej okręty: „Tourmaline" i „Cleopatra".

Z ich bocianich gniazd w tym samym momencie podano świetlne sygnały, meldujące o czerwonem świetle i zapytujące, czy Bachantka zauważyła je również. Odpowiedziano twierdząco.

Po chwili jednak, jakby za skinięciem czarodziejskiej różdżki, tajemnicze światło zniknęło. Ciemność zapanowała dookoła.

Czy był to Latający Holender? Czy też sygnał? Czy wreszcie wybujała imaginacja marynarzy?

Znane są liczne opowiadania o Statkach Widmach. Niemal każda droga morska posiada własną swoją legendę, własną swoją tajemnicę. Opowiadania te są pozostałością okresu średniowiecznego, kiedy to ludzie wierzyli, że siły natury posiadają dusze, analogiczne do dusz ludzkich, i że np. skowyty burzy nie są niczem innem, jak jękami zmarłych, cierpiących wieczne potępienie.

Autor słyszał opowiadanie o Latającym Holendrze nad Wielkiem Jeziorem. Pozatem istnieje t. zw. Bęben z Delewaru, którego dźwięk. rozlegają się na jeziorze Michigani w chwili, kiedy okręt jakiś przeznaczony jest na zagładę. Są krzyki rozpaczy i przerażenia na brzegach Irlandji. Jest smutna maurytyjska muzyka zmarłego dawno Tutanekana, która rozlega się z jego wyspy Makoji. Wszystko to może być wytłumaczone. Opowiadanie o Latającym Holendrze pozostaje. Jest to największa tajemnica oceanu.

Latającym Holendrem był Korneljusz Vanderdecken, kapitan okrętu w Amsterdamie. Prowadził on ożywiony handel pomiędzy Batawią, a Europą. Batawia położona jest na wyspie Jawie, stolicy Holenderskich Wschodnich Indyj. Przedmioty tropikalnego eksportu tych kolonij, jak np. przyprawy, drzewo sandałowe i t. d., były niezmiernie poszukiwanemi artykułami,za które płacono w Holandji wysokie ceny.

Vanderdecken był jednym z najsurowszych zwierzchników podczas podróży. Z drugiej strony załoga jego składała się z najgorszych mętów społecznych.

Ludzie ci twardo pracowali, twardo też umierali, pomimo to jednak zawsze byli inni, gotowi zająć ich miejsce, ponieważ zyski z handlu były ogromne. Vanderdecken był człowiekiem, który nie uznawał żadnego innego autorytetu, z wyjątkiem własnego.

Podczas burzy znanym był z tego, że przeklinał całe otoczenie, niebo, załogę, okręt, wszystko, co pozostawało poza sferą jego mściwego rozszalałego gniewu. Zirytować go, lub sprzeciwić się mu było ściągnąć na siebie nieszczęście.

Takim był typ człowieka, którego imię przeszło do nas w legendzie i opowiadaniu. Ostatni raz odbił on z Batawji przy pięknej, słonecznej pogodzie. Okręt jego był w doskonałym stanie; — załoga liczna i doświadczona; — wysoki zysk zapewniony.

Opuszczając Batawję, oświadczył, że zamierza zrobić rekordowy kurs i powrócić na wiosnę. Zamiaru tego nie uskutecznił nigdy. Nieszczęście szło jego śladem.

Przedewszystkiem zawiodły go wiatry. Dni przechodziły i zastawały okręt, stale kołyszący się na rozpalonym oceanie Indyjskim. Tłuszcz topił się pod deskami pokładu, pękało drzewo w burtach i w tyle okrętu. Vanderdecken zapędził wszystkich ludzi do naprawiania szkód, każąc im pracować, jak niewolnikom. Nagle pewnej nocy, bez żadnych uprzednich znaków ostrzegających cisza została przerwana. Ze wschodu nadszedł huragan i porwał ze sobą statek.

Burza była straszną. Wichura, szalejąc przez dwadzieścia cztery godziny, pozrywała z masztów żagle razem z kółkami. Przedni maszt został zmieciony z pokładem; ster uszkodzony.

Załoga pracowała stale bez odpoczynku. Na mostku kapitańskim wznosiła się wysoka postać Vanderdecka; dłonie jego mocno trzymały uszkodzony ster; czerwone zaś oczy z wytężeniem patrzyły w dal. Stał on już tak niemal dwie doby bez jedzenia i picia.

Energja jego była równie wielką, jak gwałtowność charakteru. Przeklinał on morze i wiatr, aż sprzeciwili się temu jego ludzie. Byli oni tak, jak większość ówczesnych marynarzy, przesądni i obawiający się wszystkiego, co nieznane.

Burza ustała tak raptownie, jak raptownie się zaczęła. Wiatr ucichł znowu; duże, zielone fale uderzały w bezbronne boki okrętu. Nikt z załogi nie mógł oprzeć się zmęczeniu; wszyscy zasypiali w miajscach, gdzie pracowali. Nawet Vanderdecken został pokonany.

Kiedy przebudzono się, był słoneczny, gorący dzień. Jasne fale łagodnie pluskały o okręt. Morze było niemal nieruchome. Nie wiedziano, czy spano dzień, czy też dwa. Nie było to jednak sprawą tak wielkiej wagi; przedmiotem ogólnej troski był statek, którego stan pozostawiał dużo do życzenia i wymagał gwałtownie naprawy. Cała załoga zabrała się do roboty, pracował również i sam Vanderdecken.

Na jego razkaz naprawiono ster i żagle; sprawdzono sznurowania i drabinki linowe; wprawiono w ruch pompy i zatrzymano wlewanie się wody do wnętrza okrętu. Polecił nawet odczyścić zardzewiały łańcuch przy kotwicy. Mówią, że przy tych pracach zginęło trzech ludzi z załogi okrętowej. Vanderdecken swoim zwyczajem przeklinał i przysięgał, że żadna siła na ziemi, ani z pod ziemi nie potrafi przeszkodzić mu w podróży do Holandji. Zapomniał, że może być jeszcze siła nad ziemią.

Wreszcie okręt niemal był gotów do podróży, wiatry jednak znowu były słabe oraz zmiennne, a w chwili, gdy naprawy skończono ostatecznie, ustały zupełnie. Najlżejszy nawet podmuch wiatru nie zakłócił spokoju rozpalonej powierzchni mo-

rza. Żagle leniwie zwisały, owijając maszty i reje. Nowa burza była nieuniknioną.

Blisko koło północy na wschodnim horyzoncie zauważono słabe blaski. Wyglądały one, jak błyski prądu elektrycznego za ciemną jedwabną zasłoną. Marynarze widzieli drgające światło, znak zbliżającego się niebezpieczeństwa. Natychmiast wezwano z kajuty Vanderdeckena, który wydał odpowiednie zarządzenia.

Cała załoga wezwana została na pokład, gdzie każdemu z marynarzy wyznaczono jakaś praca. Jednym rozkazano opuścić żagle i zwinąć górne płótna; innym znieść pod pokład wszystkie ruchome przedmioty, jeszcze innym zwijać liny.

Zapanowała przykra, trwożna cisza, przerywana westchnieniami zbitych w gromadkę marynarzy i zgrzytami łańcuchów. Po chwili na pokładzie rozległy się uderzenia pierwszych, ciężkich kropel deszczu. Przeciągły, głuchy skowyt zabrzmiał w ciemnościach. Był to pierwszy głos nadchodzącej burzy. Wysokie fale, rzucone do góry podwodną siłą oceanu, bryzgnęły spienioną pianą.

Za chwilę zapanowała martwa, przygnębiająca cisza; znowu kilka kropel deszczu spadło na pokład; nagle gwałtownie okręt został podniesiony do góry — cisza ustąpiła niepowrotnie.

O ile pierwsza burza była straszna, druga była tysiąc razy gorsza. Statek w jednej chwili został przechylony na bok. Rozszalałe bałwany Pacyfiku z ogromnem łoskotem uderzały w bezbronny kadłub okrętu.

Znowu ster został uszkodzony; liny zaś zerwane z taką łatwością, jak struny skrzypcowe przez nieumiejętnego grajka. Złamane lub poważnie uszkodzone zostały: maszt przedni, maszt z bocianiem gniazdem i maszt tylny. Odłamane części zwisały z boków okrętu, kalecząc je i rozbijając. Robiono starania, aby uwolnić się od nich; udało się to jednak tylko częściowo.

Większa część obserwacyjnych instrumentów zniszczona. Okręt, aby móc się utrzymać na powierzchni morza, gwałtownie wymagał naprawy. Załoga znurzona i bezradna. Kilku marynarzy porwanych z pokładu falami zginęło podczas burzy.

Pozatem stale trwała zła pogoda; zapas wody niemal cały był wylany; żywność zaś była bliską wyczerpania. Pomimo to jednak marynarze, łajani i przeklinani przez Vanderdeckena, naprawili jako tako statek i wyruszono w dalszą drogę do majaczącego w oddali Przylądku Dobrej Nadziei.

Była zima. Przylądek zaś w tym czasie znajdował się w posiadaniu Holendrów, którzy wydali rozporządzenie, aby żaden okręt nie wchodził do zatoki, podczas zimowych miesięcy. Vanderdecken był jednak rozbitkiem; usposobienie jego było tak ponure, jak niebo nad nim; wściekłość skłoniła go do nieostrożnego czynu. Postanowił wejść do zatoki.

Skoro jednak okręt ukazał się w zatoce, nadbrzeżne baterje rozpoczęły ogień. Pociski padały dookoła okrętu i Vanderdecken zmuszony był wycofać się na pełne morze.

Co gorzej, na pełnem morzu okręt został znowu porwany przez wiatr i odrzucony daleko w tył. Vanderdecken nie mógł udać się w dalszą drogę do Europy, gdyż okręt jego nie posiadał do tego warunków. Musiał on znaleść miejsce, gdzieby mógł zarzucić kotwicę: musiał zaopatrzyć się w żywność i wodę. Krążył zatem w okolicach przylądka, oczekując na sposobność wśliźnięcia się do zatoki. Stale jednak silny

północno — zachodni wiatr odrzucał go z powrotem na morze.

Mogło się wydawać, że jest zdecydowanem, aby okręt ten nigdy nie dobił do brzegu. W rozpaczy i szalonym gniewie na spotykające go przeciwności Vanderdecken, stojąc na mostku kapitańskim swego okrętu, rzucił straszne przekleństwo.

Zaprzysiągł on, że nikt — nawet Stwórca nie powstrzyma go od zamiaru przybycia do portu i że okręt jego dopóty będzie szedł naprzód, dopóki nie pokona na zawsze siły wiatru i fal oraz cierpliwości Wszechmogącego.

Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku, żeglował zawsze w kierunku Przylądka lub odwrotnym; posuwając się naprzód milę lub cofając; widząc wyraźnie obraz ziemi lub tracąc go znowu, walczący, podejrzliwy, zrozpaczony.

Jest to właśnie okręt, o którym marynarze mówią, że widzą go, walczący z falami na burzliwych morzach, położonych na wschód od Przylądka Agultas, dniem i nocą, podczas pięknej i burzliwej pogody.

Lata nie zmieniły opowiadania o Vanderdeckenie.

Ludzie, którzy twierdzą, że powyższa tajemnica morza jest zwyczajną imaginacją marynarzy, napotkali na istotne trudności w rozwiązaniu suchych sprawozdań okrętowych, zrobionych przez tych, którzy przysięgają, że pozdrowili Vanderdeckena.

Wśród marynarzy panuje przekonanie, że spotkanie tego tajemniczego okrętu jest zapowiedzią niechybnego nieszczęścia. Wszystko to być może, — najbardziej jednak przekonywającą częścią niniejszego opowiadania jest ustęp z dziennika okrętowego Bachantki.

„Latający Holender ukazał się naszym okrętom. Zauważyliśmy, w odległości jakichś 200 yardów, dziwne, czerwone światło, w środku zaś tego światła wyraźnie odbijały się na ciemnem tle nocy kontury żaglowca.

Jednocześnie widziało to zjawisko trzynaście osób. Czy był to jednak Latający Holender, czy też kto inny — musi pozostać niewiadomem. „Tourmaline“ i „Cleopatra“ ze swoich gniazd bocianich sygnałami świetlnemi zapytały nas, czy okręt nasz również widział to dziwne zjawisko“.

Również oficerowie wojennego statku „Lewen“ twierdzą, że spotkali „Holendra“ dwukrotnie i że za drugim razem niezwykłe zdarzenie zostało zanotowane w dzienniku.

Sto lat temu „Leven“ znajdował się na straży przy „Point Danger“, pomiędzy zatokami „Algoa“ i „Simons'a“, kiedy majtek na bocianiem gnieździe zameldował, że w odległości paru mil na horyzoncie widzi „Bazzacountę“ — okręt towarzyszący „Leven'owi“.

Kapitan „Leven'a“ dobrze wiedział, że „Bazzacounta“ nie powinna się była znajdować we wskazanem przez majtka miejscu.

Majtek z bocianiego gniazda podał, że jakiś cudzoziemski okręt płynie w kierunku „Levena“. Kapitan kazał stanąć. Nikt nie nadpływał.

Puszczono rakietę. Lecz, tajemniczy statek nie odpowiedział. Czyżby się majtek mylił? Żaden znak się nie ukazał, ale daleko w gęstych ciemnościach zabłysło czerwone, zmienne światło — i zgasło. O świcie nigdzie nie można było zauważyć obcego okrętu na horyzoncie.

W tydzień później, skoro „Bazzacounta“ dogoniła „Leven“, dziennik pierwszej zaświadczył, że znajdowała się ona w odległości 400 mil od miejsca dziwnego spotkania.

Pewnego wieczora, trzy tygodnie później załoga „Leven'a“ zauważyła znowu dziwny okręt. Widać go było wyraźnie. Świecił tajemniczo w ciemności, przez chwilę.

W 1849 „Carisbrooke Castle“, statek handlowy Kompanji Wschodnio — Indyjskiej, został schwytany przez burzę koło Przylądka. Podczas walki z wiatrem i falami, kiedy starał się dotrzeć do zatoki, załoga jego spostrzegła w oddali żaglowiec, szary i ponury, obojętny na burzę, milczący. Przesunął się tuż obok i zniknął w gęstej mgle.

W r. 1907 amerykański parowiec „Saratoga“ został na tej samej drodze ogarnięty przez huragan, również niedaleko przylądka. Jego obserwator krzyknął: „Żaglowiec od strony wiatru!“.

Spotkany okręt płynął szybko w ciemnościach, pod pełnemi żaglami, bez łopotu, zgrzytu i szumu rozbijanych fal. Wszystko było spokojne, zagadkowe, ponure. Kiedy przepływał z prawej strony „Saratogi“, zauważono, że wyglądał tak jak gdyby przebył straszną burzę. Chłód śmierci wiał od niego. Żaden głos nie odezwał się z pokładu, żadna odpowiedź nie została dana. Wezwano kapitana. W chwili, gdy ten wyszedł na pokład, ujrzał tylko ostatni błysk tajemniczego okrętu, który gwałtownie zanurzył się w falach, wciągnięty w głąb jakąś potężną, niewidzialną siłą.

„Saratoga“ krążyła przez pewien czas, szukając jakiegoś śladu katastrofy. Nie znaleziono jednak ani szczątków, ani żadnego śladu.

Co znaczą te widziadła na morzu? Kto wyjaśni dziwne zjawiska na morzu. Ale tam pod 40 — 50 stopniem szerokości mówią, że stary Vanderdecken dotychczas walczy na swej strasznej, beznadziejnej drodze.

Przeklęty przez własne bluźnierstwo, miotany bez odpoczynku falami oceanu, tak strudzonego, jak jego własna dusza, — obaj, człowiek i żywioł, skazani na pracę bez końca i rezultatu.

Naprzód i w tył. Naprzód i w tył.

PRENUMERATA

wraz z przesyłką wynosi:

rocznie	12 zł.
półrocznie	6 zł.
kwartalnie	3 zł.
miesięcznie	1 zł:

CENA OGŁOSZEŃ:

za całą stronę . . .	100 zł.
za pół strony	55 zł.
za ćwierć strony . . .	30 zł.

Numer pojedyńczy kosztuje 50 gr.

Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. № 10.020, albo przekazem pocztowym do administracji „Harcerza“: w Warszawie ul. Traugutta 2.

Adres redakcji: Warszawa, Al. Ujazdowska 37 m. 12.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor: *T. Uhma.*

Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Tel. 27-15